

# Instytut Pamięci Narodowej

<https://ipn.gov.pl/pl/historia-z-ipn/174406,Janusz-Wrobel-Mandzurskie-pola-smierci-Zapomniany-rozdzial-polskiej-martyrologii.html>  
19.04.2024, 22:29

## Janusz Wróbel: Mandzurskie pola śmierci. Zapomniany rozdział polskiej martyrologii

**W początkach lutego 1904 r., pomimo silnego mrozu w Warszawie panowała gorąca atmosfera. Gazety ukazywały się w zwiększonej objętości, redakcje pracowały całą dobę, a dziennikarze w gorączkowym pośpiechu przygotowywali specjalne dodatki. Gazeciarze roznosili je po ulicach miasta, krzycząc na całe gardło: „wojna polsko-japońska!”.**

Przechodnie rozchwytywali prasę, a w wypełnionych po brzegi kawiarniach prowadzono ożywione dyskusje nad wydarzeniami na Dalekim Wschodzie. Wkrótce na czołówkach gazet pojawiły się wielkie tytuły o ataku japońskich okrętów na rosyjską bazę wojenną w Port Artur nad Morzem Żółtym, co oznaczało wojnę pomiędzy Imperium Rosyjskim a Cesarstwem Japonii. Jej wybuchu spodziewano się już od dawna, gdyż od końca XIX stulecia narastał konflikt między obu państwami o wpływy w Korei i w Chinach, zwłaszcza w Mandżurii. W Petersburgu zajęto wobec Japonii twardą postawę, a car Mikołaj II był przekonany, że ewentualny konflikt zakończy się łatwym zwycięstwem, które usunie ważną przeszkodę w dalszej ekspansji terytorialnej Rosji na Dalekim Wschodzie. Na pozór wydawało się to uzasadnione – Rosja była krajem większym, ludniejszym od Japonii, dysponowała większą armią lądową i liczniejszą marynarką wojenną.

Tymczasem przeciwnik posiadał atuty, które w dużej mierze niwelowały rosyjską przewagę ilościową. Ponieważ głównym teatrem wojny miały być Korea i Mandżuria, Japończycy niespodziewanie zaatakowali i unieszkodliwili flotę rosyjską bazującą w Port Artur. W ten sposób opanowali szlaki morskie i bez przeszkód przerzucali wojska na kontynent azjatycki.



Strona tytułowa pisma „Wiek Nowy” z 10 czerwca 1904 r. Pod ilustracją podpis: „Ranny rosyjski, pielęgnowany przez Japończyków w szpitalu w Matsuyama. Charakterystycznym jest obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, umieszczony nad różkiem rannego”.

Rosjanie zaczęli więc szukać rozstrzygnięcia na lądzie, ale okazało się, że i tu są w gorszej sytuacji. Siły rosyjskie na Dalekim Wschodzie były stosunkowo niewielkie, a przerzucenie posiłków z europejskiej części imperium okazało się bardzo trudne. Do Mandżurii prowadziła jednotorowa Kolej Transsyberyjska, która nie była jeszcze ukończona, a przez Bajkał składy kolejowe przewożono promami, zimą po lodzie. Transport i zaopatrzenie wojska stały się wąskim gardłem armii rosyjskiej. Niepodzielnie panujący na morzu Japończycy przerzucali statkami żołnierzy i sprzęt na znacznie krótszych dystansach. Ich oddziały były sprawnie dowodzone, żołnierze zdyscyplinowani i usposobieni bojowo, przekonani o słuszności sprawy, o którą walczyli. W armii rosyjskiej panował inny duch. Żołnierze cara nie wiedzieli, dlaczego i o co mają walczyć z egzotycznym przeciwnikiem. Słabością tej armii było też jej zróżnicowanie narodowościowe. W szeregach jednostek kierowanych na front w Mandżurii znalazło się wiele tysięcy Polaków pochodzących z Królestwa Polskiego i tzw. Ziemi Zabranych (Kresów Wschodnich).

O liczebności żołnierzy narodowości polskiej w tym konflikcie świadczą doniesienia prasy polskiej i zagranicznej. Jan Zamarajew, korespondent pism polskich na Dalekim Wschodzie, oceniał, że:

„Z pośród Polaków zamieszkałych w Mandżurii i w ogóle na Dalekim Wschodzie, największa liczba przypada na żołnierzy szeregowców, których w każdym pułku, czy też batalionie, jest od 15 do 40 proc. Sporo jest też oficerów narodowości polskiej, zwłaszcza w straży pogranicznej”.

Po swoim pobycie w Japonii Roman Dmowski pisał:

„W pułkach wschodnio-syberyjskich, przed powołaniem rezerw miejscowych, liczba Polaków dochodziła do 40 na stu, a w niektórych mniejszych oddziałach stanowili oni połowę żołnierzy”.

I dodawał:

„W obecnej chwili Polska ma na teatrze wojny dziesiątki tysięcy swoich synów, którzy dziś nie setkami a tysiącami giną”.

Polonijne gazety pisały w początkach 1904 r.:

„W Królestwie Polskim nie ma ani jednej wsi, w której by choć jeden poborowy nie służył dzisiaj wojskowo na terenie wojennym”.

W marcu pismo „Polak” informowało, że każdego roku Rosja bierze do wojska 40 tys. rekrutów z Królestwa Polskiego i w „Kraju Zabranym” i większość z nich trafia na Daleki Wschód. Oceniano, że:

„blisko trzecia część wojska, będącego teraz na placu boju, składa się z braci naszych, a jak wojna się przeciągnie, to będą brać zapasowych, tych co już wojsko odstąpili”.

Angielski korespondent pisma „Daily Telegraph” pisał po upadku twierdzy Port Artur, że w garnizonie rosyjskim służyło „10.000 Polaków, którzy spełniali swoje obowiązki sumiennie, nie okazując zbytniego zapału”.

Polacy na tę wojnę iść nie chcieli, co więcej, życzyli Japonii zwycięstwa. „Przegląd Wszechpolski” pisał:

„Społeczeństwo, a zwłaszcza nasze warstwy ludowe, na których skórze przede wszystkim ta wojna się odbije, rozjątrzone jest mocno, chłopci wprost oczekują nakazu, co robić, czy uciekać, czy jechać do Mandżurii i tam szkodzić Rosjanom i przystać do Japończyków. Inteligencja też skłania się do tego, że należy wprost pouczyć jak żołnierze Polacy powinni i jak mają szkodzić naszemu wrogowi”.

Popularna lwowska popołudniówka „Wiek Nowy” donosiła:

„[...] *vox populi* poufnie spodziewa się, iż Japończycy zdobędą Port Artura i że jest to tylko kwestią czasu. Ta »gadka« może niezbyt jest strategicznie umotywowana, ale charakteryzuje ona bardzo dosadnie, z jakim usposobieniem Warszawiacy czytają telegramy i wieści wojenne i co radziby w nich wyczytać”.

W połowie sierpnia 1904 r. pojawiła się pogłoska o klęsce armii rosyjskiej i wzięciu do niewoli głównodowodzącego gen. Aleksieja Kuropatkina z całym sztabem. Wywołało to wśród warszawiaków „nieopisaną radość”. W kawiarni Semadeniego, „tej kuźni najświeższych, choć nie zawsze prawdziwych wersji, w pierwszej chwili potracono formalnie głowy z radości”. Długo nie chciano wierzyć urzędowym wiadomościom, że sytuacja Rosjan na froncie nie jest tak zła, jak sądzono.

Niespodziewanym przejawem skrywanych sympatii Polaków wobec Japończyków były uporczywe pogłoski o rzekomo polskim pochodzeniu gen. Kuroki, jednego z najważniejszych dowódców armii cesarskiej, walczących w Mandżurii. Źródłem tych pogłosek miał być list siostrzeńca generała, wysłany do niemieckiej gazety „Berliner Tageblatt”, w którym utrzymywał on, że Kuroki jest polskiego pochodzenia. Ojciec jego, Kurowski, opuściwszy Polskę, mieszkał w Paryżu, potem w Turcji, a następnie zaciągnął się do „legionu holenderskiego” na Borneo, aby ostatecznie osiąść w Japonii i ożenić się tam z rodowitą Japonką. Zmienił również nazwisko na Kuroki, łatwiejsze do wymówienia. Sprawa nabrała na tyle rozgłosu, że redakcja austriackiego dziennika „Neues Wiener Tagblatt” zwróciła się o wyjaśnienia do bawiącego przejazdem w Wiedniu dyplomaty japońskiego. Ten uznał wiadomości o polskim pochodzeniu gen. Kuroki za oczywisty żart.

Warszawskie kawiarnie tonęły w antyrosyjskich dowcipach. Bawiono się anegdotą z życia oficerów rosyjskich w Rembertowie, „którzy wynaleźli wspaniały sposób okazania swojej gotowości wojennej”. Kpiono, że po ćwiczeniach zbierają się w kasynie, rozkładają mapę kolejową z zaznaczonymi stacjami od Warszawy do Port Artur i „udają się z brawurą niesłychaną w podróż na plac boju”. Zasiadają wokół stołu nad mapą, przewodniczący odczytuje nazwę stacji kolejowej i gdy okazuje się, że nie ma w niej bufetu, pierwszy

z brzegu oficer wypija duży kieliszek wódki. I tak po kolei na kolejnych przystankach. Gdy natomiast trafi się stacja z bufetem, wódkę piją wszyscy obecni. Ponieważ odległość do pola walki była ogromna, a liczba postojów duża, „dalej niż do Moskwy, nie udało się dotąd nikomu dojechać”.

Zaniepokojone tymi nastrojami władze rosyjskie w Królestwie próbowały stwarzać chociażby pozory poparcia społecznego dla polityki Petersburga na Dalekim Wschodzie. Lwowski „Wiek Nowy” informował o niechętnym stosunku kadry oficerskiej do wojny na Wschodzie, ale zaznaczał zarazem, że władzom wcale to nie przeszkadza w organizowaniu „pochodów patriotycznych”, aranżowanych przez carską policję przy pomocy „płatnych wyrostków”. Zwykli mieszkańcy znajdujący się przypadkowo na trasie tych pochodów zmuszeni byli przez policjantów do włączenia się w pochód, a w przypadku niezbyt szybkiego zdjęcia nakrycia głowy, narażeni byli na obelgi, a nawet pobicie. Oczywiście wzmagało to nienawiść społeczeństwa polskiego do zaborców. Ponure wrażenie robiły „manifestacje patriotyczne” w Łodzi organizowane z nakazu rosyjskiej administracji. Do udziału w nich zmuszano młodzież gimnazjalną. Łódzki korespondent pisał o „posępnych twarzach młodych ludzi” utkwionych w ziemię, gdyż „nie śmiały patrzeć w oblicza przechodniów, wstydząc się samych siebie”.

Fragment tekstu z „Biuletynu IPN” nr 11/2022

► [Czytaj całość na portalu przystanekhistoria.pl](http://przystanekhistoria.pl)